

KURIER WARSZAWSKI

Kinematografia ma już dziewięćdziesiątkę! ● Braci Lumière „dzieła zebrane” w warszawskim Iluzjonie ● „Balkon”, czyli dom publiczny jako metafora ● Kolejny Sylwester pana Hanuszkiewicza ● Nowa twarz w „Ateneum”: Maria Ciunelis ● „Skamieniały las” — nie taki, jak na filmie...

Rok XIX. Nr 1 (183).

Styczeń 1986.

KURIER WARSZAWSKI znów się postarzał o dwanaście miesięcy, ale — wszedł dopiero w dziewiętnasty rok życia, więc nie ma o czym mówić; gdzieś taki wiek równać choćby z dziewięćdziesiątą rocznicą kina, którą obchodziliśmy w ostatnich dniach grudnia. Rocznicą średnio okrągłą, zatem i obchody były raczej skromne, niemniej — interesujące. Zorganizowała je naturalnie FilMOTEKA Polska, zapraszając do Iluzjonu na specjalny pokaz, rozpoczęty, najsluszniej, filmami braci Lumière. Tymi, jakie podczas pierwszej publicznej, oficjalnej projekcji — 28 grudnia 1895 w paryskiej Grand Café przy Bulwarze des Capucines — rozpoczęły nową erę w dziejach kultury: erę kinematografii. A także i telewizji, nawet video — wszystko to bowiem wzięło przecież początek z ruchomych fotografii wynalezionych przez Louisa i Augusta Lumière. Wychowani w zakładzie fotograficznym, prowadzonym przez ojca, Antoine’a Lumière w Lyonie, a później w ojcowskiej fabryce błon i papierów fotograficznych, byli przez ojca właśnie dopinowani do prac nad ulepszeniem kinetoskopu Edisona, co w rezultacie doprowadziło ich do wynalazku ruchomej fotografii. Przez ojca też zostali naklonieni do zademonstrowania swego kinematografu publicznie w Paryżu i wyciągnięcia z niego korzyści finansowych (stary Lumière nie wierzył zresztą, by kinematograf miał przed sobą przyszłość; był zdania, by zarobić na nim ile się da, póki ktokolwiek zechce go oglądać)...

Błyskawiczne przemiany, jakim ulegała sztuka filmowa w swej niespełna stuletniej historii, uzmysłowił nam również ów jubileuszowy seans FilMOTEKI. Obejrzeliśmy pierwsze — a więc sprzed dziewięćdziesięciu lat — filmy braci Lumière: kilkudziesięciosekundowe „Wyjście robotnic z fabryki Lumière w Lyonie”, „Przyjazd pociągu na stację”, „Grę w karty” i in.; dwa minimalnie dłuższe, lecz o epokowym znaczeniu: „Oblany ogrodnik” — pierwszy film fabularny (choć jeszcze bardzo niska ta fabułka) i „Zabójstwo księcia Gwizjusza” — pierwszy film historyczny, kostiumowy; wreszcie parominutowy, kręcony — jak na ówczesne czasy — z rozmachem „Żywy i męczennik Chrystusa”. Po tych nieporadnie dziś wyglądających pierwocinach filmu pokazano w Iluzjonie „Elektryczny dom” Bustersa Keatona z roku 1922 — zatem z okresu, gdy okrzepł już film niemy, a ekranowe burleski imponowały gagami, jakich do dziś prześcignąć nie sposób, na koniec zaś — „Człowieka o złotej rączce” Premingera, z roku 1955. Sugestywny portret narkomana — w świetnej interpretacji Sinatry, ratowanego z nałogu przez Kim Novak w jej najlepszych latach; kończy się to wszystko, rzecz jasna, happy endem (inaczej jeszcze wówczas w Hollywood być nie mogło), ale zanim do happy endu doszliśmy, znalazło się tam parę scen o niezłej sile wyrazu.

90 lat kina... Niby nie tak wiele, a jakże się kino przez te lata zmieniło! Gdzie te dawne gwiazdy? Gdzie wzruszające melodramaty i zwariowane komedie?... Dobrze, że chociaż dzięki Iluzjonowi możemy czasem powrócić do filmów z lat młodości. Kino, to jedyna ze sztuk, którą znamy od samych narodzin, i której wszystkie najwybitniejsze dzieła możemy mieć do dyspozycji, możemy studiować i podziwiać właśnie dzięki zbiorom FilMOTEK. Wielka to przyjemność i satysfakcja; niestety — okazuje się, że chętnych do sięgania w

najdalszą przeszłość kina nie ma w Warszawie wielu, toteż Iluzjon, chcąc ratować kasę, częściej prezentuje bestsellery z ostatnich trzydziestu, czy nawet dwudziestu lat, i tylko czasem — w takim lub innym cyklu — znajdzie się coś dla smakoszy, dla prawdziwych miłośników kina, dla tych, którzy sztukę filmową pragną znać od podstaw, choćby właśnie od „Wyjścia robotnic z fabryki Lumière w Lyonie” poczynając.

Ale dość już na dziś o „wyjściu” — mówmy teraz o „wejściu”. Z czym mianowicie weszły w Nowy Rok warszawskie teatry? Tradycyjnie już w styczniu najmocniej oblegane bywa „Ateneum”, bo tam, w Sylwestra, doroczną premierę daje Adam Hanuszkiewicz — zawsze interesującą, zawsze wywołującą spór, zawsze efektywnie pomyślaną. Tak się przy tym złożyło, że w tegorocznym styczniu „Ateneum” ma w repertuarze obok Hanuszkiewiczowej premiery jeszcze jedną niecodzienną, dopiero co wprowadzoną do repertuaru, sensację. Myślę o „Balkonie” Geneta — sztuce, której paryska premiera odbyła się przed ćwierć wiekiem, zresztą z opóźnieniem i w atmosferze skandalu, uznano bowiem, iż Genet obraża w niej armię i Kościół, no a poza tym cała akcja toczy się w domu publicznym dla szczególnie perwersyjnych klientów, co urągało, jak gdyby, dobremu obyczajom ówczesnej dramaturgii...

Dziś, po dwudziestu pięciu latach, które na scenie napatrzyły się już na niejedno, wszystkie te obiekcje wydają się, oczywiście, bezzasadne; gdzie tu obraza? gdzie zły smak? Cała sceneria i cała akcja jest przecież tylko jedną wielką metaforą; metaforą świata takiego, jakim widzi go Jean Genet, a widzi go i ocenia (chyba ze znajomością rzeczy) jako grę pozorów i kłamstw, w której każdy z nas przybiera różne maski, różne przebrania, różne pozy, każdy stara się (a czasem nawet musi) wydawać się innym, niż jest w istocie. Zmuszają nas do tego życiowe reguły i konwencje, nasze pragnienia i nasze kompleksy...

To spojrzenie Geneta, posępne, lecz niewątpliwie nie bez racji, nie brmi już teraz odkrywczo, a forma, w jakiej je zamknął, wydaje się nieco przedobrzona, zawila, trochę chyba zwietrzała i w sumie — co tu ukrywać — nudząca. Sztuka jest za długa i niejasna, natomiast jej wystawienie w „Ateneum” — efektowne, zrobione z wyczuciem taktu, smaku, no i z wyczuciem sceny, gładko i bezboleśnie prześlizgujące się po wszelkich drażliwościach Genetowskiego tekstu. Przygotował sztukę Andrzej Pawłowski, który kiedyś zachwycił mnie swoją adaptacją i inscenizacją „Porno grafii” Gombrowicza, rozczerował potem „przesadnie pomyslową” adaptacją „Transatlantyku”, a teraz znowu przedstawił spektakl nad wyraz sprawny, błyskotliwy i interesujący. Wspomaga go wyborny zespół aktorski: począwszy od Barbary Wrzesińskiej w trudnej roli Irmy — Królowej, poprzez Jerzego Kamasa, Mariana Kociniaka, Marię Ciunelis, Leonarda Pietraszkę i innych, aż po zestaw bardzo utalentowanych i uroczych dziewcząt (m. in. Grażyna Strachota — doskonała w roli Klaczy Generała, Anna Gornostaj, Barbara Bursztynowicz, Anna Wojton i in.). Myślę, że „Balkon” — chociaż nudnawy — powodzenie ma zapewnione na długie miesiące, podobnie jak i sylwestrowa premiera Hanuszkiewicza: „Maria i Woyzeck”.

Wiadomo, że niewiele jest sztuk równie ponurych, mrocznych, jak „Woyzeck” Georga Büchnera (o autorze i utworze pisałem trochę obszerniej w Kurierze nr 167) i z tych też względów sztuka, chociaż sławna, rzadko cieszy się tzw. wzięciem u publiczności. Jeśli jednak wierzę w jej powodzenie w „Ateneum”

i jeśli przestałem się dziwić, że właśnie nią zdecydował się Hanuszkiewicz poprzedzić sylwestrowe zabawy, to dlatego, że — jak to u Hanuszkiewicza bywa — jest to zupełnie inny „Woyzeck” niż ten, jakiego Büchner napisał i do jakiego przywykliśmy w teatrach — stąd również i zmiana tytułu na „Marię i Woyzeck”.

Z zarysu fabuły i sensu „Woyzecka” Hanuszkiewicz skonstruował szkielet przedstawienia autorskiego, w jakim pomieścił także sceny i teksty z innych sztuk i z listów Büchnera, teksty innych autorów „z epoki”, pomieścił song Brechta i song Brela oraz collage muzyczny oscylujący między Bachem, piosenkami Kandra i „Miłością, która mu wszystko wybacz”. Nadał spektaklowi formę makabrycznego kabaretu animowanego przez dwóch Błaznów (Emilian Kamiński i Michał Bajor), komentujących zdarzenia sceniczne, wyjaśniających publiczności to i owo, niekiedy bezpośrednio włączających się w akcję. Nadał dziejom Woyzecka wymiar uniwersalny, ponadczasowy (sprzyja temu świetna scenografia Ewy Kwiatkowskiej), prezentując swoisty moralitet o ludzkiej kondycji: o człowieku zaszczytnym, zniewolonym, upodlonym.

Myślę, że tak należy — a w każdym razie, że i tak można — odczytać sens tego przedstawienia. Sens trochę pogmatwany, kamuflowany, do którego Autor przewrotnie się nie przyznaje, choć oba Błazny i wszyscy widzowie starają się uparcie dociec o czym właściwie jest to przedstawienie. Sens jest bowiem ukryty lub raczej może przytłoczony prawdziwym fajerwerkami reżyserskich pomysłów. Jest to spektakl, w którym stale coś się dzieje, w którym stale coś zachwyca albo oburza, i który posiada parę scen niezwykle piękności (scen, jakie na długo zostaną w naszej pamięci; przede wszystkim śmierć Marii) i parę świadomych nawiązań do dawnych, szalonych pomysłów Hanuszkiewicza (pamiętna drabina z „Kordiana”!). W sumie jest to znowu spektakl kontrowersyjny, budzący ostre spory, głośnie „za” i równie głośnie „przeciw”, ale przecież teatr właśnie powinien być taki: żywy, prowokujący, intrygujący.

W obsadzie — gwiazdą tym razem okazała się Maria Ciunelis, w bardzo pięknie zagranej roli Marii. To nowy, ciekawy talent, na szczęście doceniany i umiejętnie wykorzystywany: w swym pierwszym sezonie na scenie „Ateneum” otrzymała już do dyspozycji ogromne pole dla aktorskiego popisu — i słusznie, bo na pewno na to zasługuje. Woyzecka gra Henryk Talar, a poza tą parą (no i świetnymi Błaznami: Kamińskim i Bajorem), z satysfakcją dostrzegłem także Henryka Machalicę i Tadeusza Borowskiego, Annę Wojton i Grażynę Strachotę...

Wyżyn inscenizacyjnych „Marii i Woyzecka”, a poniekąd i „Balkonu”, nie sięga niestety „Skamieniały las” Roberta Sherwooda — jedna z moich skądinąd ulubionych sztuk, zaprezentowana w Teatrze na Woli, w reżyserii Pawła Lizuta. Oczywiście cieniem na mojej percepcji przedstawień tej sztuki kładzie się pamięć o znakomitej adaptacji filmowej „Skamieniałego lasu” sprzed pół wieku, niemniej myślę, iż wcale nie w tym rzecz, że Dorota Kamińska — to nie Bette Davis (zwłaszcza że znacznie od Davis ładniejsza), że Paweł Wawrzecki to nie Leslie Howard, a Józef Duriasz, to nie Humphrey Bogart. Rzecz w odarciu sztuki z jej specyficznej poetyki, w odarciu z nostalgicznego klimatu, w wadliwym ustawieniu niektórych postaci (przecież Jackie i Ruby, to w tej inscenizacji gangsterzy raczej z „farsy” niż ze sztuki Sherwooda!). Krótko mówiąc: w powierzchownym odczytaniu utworu i bezradności wobec jego stylistyki...

Szkoda, bo chociaż to żadne arcydzieło, to przecież „Skamieniały las” zasłużył sobie na lepsze potraktowanie na warszawskiej scenie. Szkoda również i dlatego, iż Teatr na Woli niejednokrotnie już dowiódł, że stać go na interesujące, doskonale przygotowane i dobrze zagrane przedstawienia; może następne znów będzie bardziej udane? Poczekamy, zobaczymy.

LUCJAN KYDRYŃSKI